

EWA JABŁOŃSKA-STEFANOWICZ

Książka o czytaniu, czyli po co jest redaktor?

„Wszyscy jesteście czytelnikami” — stwierdza na początku swojej książki Justyna Sobolewska¹. Zdanie to nie jest prawdziwe bezwarunkowo, bo według badań czyta mniej niż 40% Polaków. Jednak trudno sobie wyobrazić, by po książkę Sobolewskiej sięgnął ktoś, kto czytaniem nie jest zainteresowany. Co więcej, każdy „kok”, czyli książka o książkach, to propozycja dla czytelników szczególnych — tych bardziej świadomych, bardziej wybrednych. Jesteśmy więc od pierwszego zdania w swoim dość wąskim gronie, znamy autorkę, bo czytamy jej teksty w „Polityce”, rozpoznajemy także przywołane już we *Wstępie* nazwiska patronów: Alberta Manguela i Anne Fadiman. Można nawet powiedzieć, że kupiliśmy *Książkę o czytaniu*, bo powodowała nami nadzieja na polskiego „kok-a” w amerykańskim stylu. Dlatego trochę nas dziwi zupełne pominięcie drugiego tytułu Fadiman, *W ogóle i w szczególności*². Jego tematyka jest mniej „książkowa” niż tematyka *Ex libris*³, wydaje się jednak, że znakomicie przetłumaczony na język polski podtytuł „eseje poufałe” określa gatunkowo także literacki zamiar Sobolewskiej.

Oczekiwania wobec jej dzieła są więc wysokie: poczytamy o rzeczach dla nas ważnych, skonfrontujemy nasze opinie, zwyczaje i emocje z opiniami, zwyczajami i emocjami innych, odkryjemy nowe tytuły i nazwiska, zachwycimy się erudycją, ale też swobodnym, osobistym stylem autorki. A przy tym wszystkim nie będziemy potrzebowali objaśnień do znanych tylko Amerykanom wydarzeń, nazwisk czy nazw⁴.

Książka Sobolewskiej ukazała się w Bibliotece „Polityki” obok m.in. cyklicznie wydawanego „Niezbędnika inteligenta”, „Pomocnika historycznego”, „Poradnika psychologicznego”, kolekcji kryminałów i płyt. Wyróżnia się wyglądem — wydrukowano ją w formacie A5, ale poziomo. Centralną część okładki zajmuje wielka litera „o” łącząca dwa pozostałe słowa głównego ty-

¹ J. Sobolewska, *Książka o czytaniu, czyli resztę dopisz sam*, Warszawa 2012, 156 ss.

² A. Fadiman, *W ogóle i w szczególności. Eseje poufałe*, przeł. M. Heydel, Kraków 2010.

³ A. Fadiman, *Ex libris. Wyznania czytelnika*, przeł. H. Pustuła, P. Piasecki, Kraków 2010.

⁴ Objasnienia takie nazwane „dopowiedzeniami” przygotował do każdego rozdziału książki *Ex libris* Jan Gondowicz.

tułu. Czystość literniczego projektu podkreśla czerwień liter umieszczonych na białym, delikatnie zadrukowanym tle. Już podczas czytania notek reklamowych na IV stronie, złożonych podobnie jak tekst główny, doświadczamy niewygodny związanej z nietypowym ustawieniem kolumny. Skład jest szeroki, średnia liczba znaków w wierszu znacznie przekracza 70 (nie licząc spacji), co odpowiada 13–14 wyrazom. Na wewnętrznym marginesie, też nietypowym, bo znacznie szerszym niż margines zewnętrzny, umieszczono paginy. Cyfrowa — gdy się przyzwyczaimy, że tam trzeba jej szukać — okazuje się znacznie bardziej „żywa” niż pagina żywa, która na wszystkich rozkładówkach przypomina nazwisko autorki i tytuł książki.

Rozdziałów jest piętnaście, każdy zajmuje od ośmiu do dwunastu stron i rozpoczyna się na opuszczonej kolumnie nieparzystej. Kolumnę sąsiednią wypełnia czarno-biała typograficzna kompozycja. Większość rozdziałów ma interesujące tytuły, czasem zawierające cytaty, np. *W tak miłych okolicznościach przyrody, czyli pozycje czytania*, „*W ten dzień jużśmy nie czytali więcej*”, *czyli o głośnym i cichym czytaniu*, *Markiza wyszła o piątej, czyli pierwsze zdanie*, *Krojenie trupa i inne męki pisania, czyli o czym nie wie czytelnik*, *Dzieci ma się po to, żeby mieć z kim czytać*. Zaletą jest ich informacyjna przejrzystość — od pierwszej chwili wiemy, czego się po lekturze spodziewać. Oczywiście, jak w każdej książce nie wykluczamy niespodzianek, wyczekujemy ich, a nawet jesteśmy gotowi pozytywnie odpowiedzieć na zachętę z podtytułu: „resztę dopisz sam”. Zachęta ta podparta jest zresztą konkretem: każdy rozdział kończy szara prostokątna apla zatytułowana *Miejsce na notatki*. Niewiele się tam zmieści, może dwadzieścia słów, ale doceniamy dopuszczenie do głosu nas, czytelników, i pomysł na umieszczenie naszych opinii tuż obok opinii wybranych i przytoczonych przez autorkę, a więc uznanych za warte przytoczenia. Pochozą one z wcale nierzadkich, jak się okazuje, dzieł, w których temat czytania w różnym natężeniu i formie się pojawia. Ich przyporządkowane do poszczególnych rozdziałów tytuły zestawiono w *Bibliografii* kończącej książkę. W ten sposób Sobolewska realizuje jeden z celów ujawnionych we *Wstępie*: tworzy antologię cytatów o czytaniu.

Natomiast jej zamiar nadrzędny — zainspirowanie czytelników do samodzielnego budowania katalogu przyjemności związanych z lekturą — dyskwalifikuje dopisek w nawiasie: „co nie znaczy, że czytanie jest tylko przyjemnością”⁵ oraz sam dobór tematów. Zamiast „katalogu przyjemności” *Książka o czytaniu* jest raczej rejestrem okoliczności, w jakich dochodzi do czytania lub nieczytania, osób i opinii, które poza nami samymi mają na to wpływ oraz podejmowanych przy tej okazji ważnych i mniej ważnych decyzji, także tych związanych z procesem twórczym. Swoją rejestr Sobolewska buduje z fragmentów książek, wypowiedzi pisarzy oraz prywatnych wyznań.

⁵ *Ibidem*, s. 9.

Książkę otwiera rozdział poświęcony pozycjom czytania, choć raczej nie o pozycjach, a o ulubionych miejscach jest w nim mowa. Okazuje się, że biurko zdecydowanie przegrywa z łóżkiem. I to bez względu na to, czy mówimy o współczesnym czytelniku ukrywającym się z książką pod kołdrą, czy o pisarzach — z różnych czasów — szukających odosobnienia w sypialni. Duża część tekstu Sobolewskiej opiera się na rozdziale *Intymna lektura* Manguela⁶ — pojawiają się te same nazwiska (m.in. W.H. Auden, Tomasz à Kempis, A. Silitoe, J. Škvorecký, E. Wharton, Colette), przywołane są te same sytuacje, a nawet podobne sformułowania. Sobolewska wzbogaca je tylko jednym polskim przykładem pisarza „łózkowego” — Mirona Białoszewskiego. Zauważa też, że dziś lista miejsc, w których czytamy, znacznie się wydłużyła. Nieprzerwanie „podłączeni”, mamy inny problem — ze skoncentrowaniem się na lekturze.

W rozdziale następnym muszą się, oczywiście, pojawić św. Ambroży i zadziwiony jego cichą lekturą św. Augustyn. To początek ery czytania indywidualnego, które okazało się ogniwem łączącym czytanie głośne, praktykowane powszechnie od momentu pojawienia się słowa pisanego, i ponownie po wiekach odkryte czytanie wspólnotowe, którego celem jest dzielenie się przyjemnością lektury i bycia razem. Manguel, do którego Sobolewska znów wielokrotnie nawiązuje⁷, przybliży jeszcze jeden rodzaj głośnego czytania — czytanie dla kogoś. Jako lektor niewidomego Borgesa Manguel był całkowicie podporządkowany jego życzeniom, zarówno dotyczącym wyboru lektury, jak i przerw, wypełnianych przez pisarza komentarzami. Autorka zestawia to wyznaczenie z sytuacją odwrotną, chyba częstszą, opisaną przez Itala Calvino, kiedy to „wszystko jest w rękach lektora”⁸.

Oczywistą inspiracją do napisania następnego rozdziału jest esej Anne Fadiman *Tak nie wolno obchodzić się z książką*⁹. Sobolewska czerpie z zapisanych w nim pomysłów dość bezceremonialnie, np. nie podaje, kto jest autorem fundamentalnego i wielokrotnie wspomnianego przez nią podziału na „kochanków dworskich” i „kochanków zmysłowych”, a na dodatek określenie „zmysłowi” zastępuje w swoim tekście „namiętnymi”¹⁰. Przytoczone inne opinie (pochodzące m.in. z forów internetowych) wskazują, że ludzie będący z książkami w pewnej zażyłości są w stanie zaakceptować wobec nich zachowania naprawdę śmiałe, pod warunkiem wszakże, że można je uznać za zachowania mieszczące się w kategorii „korzystanie z książki”. Sprawą, której Sobolewska ledwie dotyka, a która w kontekście poruszanych zagadnień zasługuje naszym zdaniem na komentarz,

⁶ A. Manguel, *Moja historia czytania*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2003, s. 215–232.

⁷ *Ibidem*. Zob. fragmenty rozdziałów *Czytanie po cichu*, s. 69–71, 81–83 oraz *Ostatnia strona*, s. 37–41.

⁸ J. Sobolewska, *op. cit.*, s. 26.

⁹ A. Fadiman, *Ex libris...*, s. 49–56.

¹⁰ *Ibidem*, s. 29.

jest ocena książki dla dzieci zatytułowanej przewrotnie *To nie jest książka*¹¹. Nie-wystarczające wydaje się zdanie: „Ta książka jest przede wszystkim pomysłem graficznym, który czytelnik może sam dopełnić za pomocą niszczenia i tworzenia”¹². Chcielibyśmy np. wiedzieć, czy ten „pomysł graficzny” autorka uznaje za wartościowy na tyle, by podarować go swoim synom, reprezentującym — jak pisze — oba typy czytelników. Ryzykowne jest także zaliczenie do kochanków dworskich tych, którzy „oddają [książki] do intrologatora, by tomy na półkach wyglądały jednolicie”¹³. Przecież czym innym jest zabezpieczenie okładki papierem czy folią, co zwykli czynić dworscy kochankowie, a czym innym tak brutalna operacja jak zamówienie nowej, obcej, ingerującej w uniwersum książki oprawy. Nieprzekonująca wydaje się też motywacja, według której estetyka poszczególnych edycji miałyby być dla tej kategorii czytelników mniej ważna niż estetyka regału.

Prawdopodobnie wszystkich moli książkowych w równym stopniu zajmują natomiast problemy towarzyszące gromadzeniu książek — skazanego na niepowodzenie ciągłego ich porządkowania, błyskawicznie kurczącego się miejsca, dylematów związanych z pożyczaniem znajomym i od znajomych. Rozdział poświęcony bibliotekom Manguel tytułuje *Porządkowanie wszechświata*, choć do tego „porządkowania” ma nader sceptyczny stosunek: „każda biblioteka tyranizuje akt czytania i zmusza czytelnika [...] by ratował książkę przed kategorią, na którą została skazana”¹⁴. Może więc nieogarnięty chaos — tym większy, im niżej na regale książka jest ustawiona — do którego przyznają się wszyscy pisarze przywołani przez Sobolewską w rozdziale *Rejmer obok Reymonta, czyli układanie książek*, to naturalna obrona przed wtłoczeniem danego tytułu do określonej szufladki, przejaw spontanicznej, nieświadomionej niezgody na etykietowanie.

Od chaosu gorsze są tylko spory o klucz, według którego książki ułożyć, dramatyczne zwłaszcza wtedy, gdy księgozbiór ma dwóch właścicieli. Próba rozdzielania pisarzy wiktoriańskich porównywana jest wtedy do „rozbitcia rodziny”, przy ustalaniu kolejności dzieł Szekspira — rozważa się rozwód¹⁵. Z kolei zdaniem Julii Hartwig wyobrażenie bólu związanego z koniecznością podzielenia biblioteki może być czynnikiem skutecznie przed rozwodem powstrzymującym¹⁶.

Tematyka następnego rozdziału *Książki o czytaniu* jest nieco wstydliva, mimo przywołania licznych świadectw, że toaleta dla wielu pełniła i pełni funkcję czytelnika. Skala zjawiska musi być naprawdę duża, skoro wydawcy przygotowują antologię odpowiednio skróconych tekstów, księgarnie tworzą specjalne

¹¹ *To nie jest książka. 86 rzeczy, które zawsze chcieliśmy zrobić z książką, a których nam stanowczo zabraniano*, przeł. A. Wziątek, Wrocław 2012.

¹² J. Sobolewska, *op. cit.*, s. 31–32.

¹³ *Ibidem*, s. 33.

¹⁴ A. Manguel, *op. cit.*, s. 263.

¹⁵ A. Fadiman, *Ex libris...*, s. 14.

¹⁶ J. Sobolewska, *op. cit.*, s. 44.

sekcje tytułów, a projektanci wewnątrz pomagają rozwiązać dylematy estetyczne. Rosnąca konkurencja ze strony innych mediów zmusza do postawy pragmatycznej. Jej przykładem jest propozycja Olgi Tokarczuk, by teksty literackie pojawiły się na opakowaniach różnych produktów. W ten sposób ułatwiamy do nich dostęp, a więc zwiększamy prawdopodobieństwo przeczytania — niechby nawet w toalecie, niechby nawet na pudełku proszku do prania.

Wyzwaniem jeszcze większym od ustalenia „co czytamy w klo” okazuje się dla Sobolewskiej próba porównania książek drukowanych i e-czytników. Wyraźnie widać, że autorka „ma w żyłach atrament”, przytacza bowiem wiele (głównie emocjonalnych, ale także ideologicznych) argumentów za papierem. Zalety e-booka są jakby gorszej kategorii: łatwiej ukryć, co się czyta, można go samemu opublikować i — po odniesieniu sukcesu — doprowadzić do wydania drukowanej książki, co od początku jest naszym celem, nie wymaga odkurzenia, łatwiej zmieści się w walizce. Argumenty za książkami tradycyjnymi są szlachetniejsze: tylko papier jest w stanie wywołać u czytelnika zmysłowe doznania, rozdzielczość i kontrast druku są zawsze idealne, do czytania niepotrzebny jest prąd, a poza tym nasz księgozbiór jest częścią nas samych, można go dziedziczyć i w ten sposób tworzyć międzypokoleniowe więzi. Niektóre argumenty są chybione, z innymi można dyskutować, autorce esejów poufałych łatwo przyznajemy jednak prawo do subiektywizmu. Poza tym mamy świadomość, że ocenia zjawiska nowe, do których wszystkim nam brakuje jeszcze dystansu.

Pasjonujący temat nadawania dziełu tytułu dotyczy zarówno książek drukowanych, jak i elektronicznych, choć autorka (podążając tym razem za *Komedią książki*¹⁷) podaje głównie historyczne przykłady, uzupełniając je kilkoma wypowiedziami współczesnych wydawców i księgarzy. Niespodzianie wszystkie je łączy podejście komercyjne — i teraz, i kiedyś jakość tytułu mierzy się liczbą sprzedanych egzemplarzy. Zagranicznym kontekstem omawianego zagadnienia są listy najdziwniejszych tytułów ogłaszane przez magazyn „Bookseller”. Sobolewska popelnia przy tej okazji małe nadużycie — nie podaje wersji oryginalnej, lecz tylko tłumaczenia (czyje?) wybranych, niepublikowanych w Polsce angielskich tytułów. Musimy też uwierzyć autorce na słowo, gdy pisze: „Najwięcej dziwnych tytułów znajdziemy oczywiście wśród kryminałów”. Chcielibyśmy wiedzieć, jak autorka definiuje „dziwny tytuł” oraz na jakich badaniach opiera swoje przekonanie.

Jedni układają rankingi tytułów, inni kolekcjonują pierwsze zdania. Ich jakość ma prawdopodobnie niewielki wpływ na decyzje zakupowe czytelników, nie znaczy to jednak, że łatwiej je wymyślić. Sobolewska cytuje, co na temat pierwszych zdań — własnych i cudzych — pisali bądź mówili m.in. Amos Oz, Paul Valéry, Miron Białoszewski, Stanisław Lem, Jerzy Pilch, Wisława Szymborska. Te opinie są odzwierciedleniem różnych autorskich strategii, do których

¹⁷ I. Ráth-Végh, *Komedія książki*, przeł. oraz wstępem i przypisami opatrzył J. Snopek, Wrocław-Warszawa-Kraków 1994.

należy m.in. autotematyczne rozpoczęcie dzieła: aby pozbyć się problemu, ujawniamy go przed czytelnikiem. Tak postąpił Sam Savage, autor współczesnego *Firmina*, ale też Lawrence Stern w *Życiu i myślach JW Pana Tristrama Shandy*. Znowu mamy natomiast kłopot z opiniami pochodzącymi od autorki. Na początku rozdziału pisze ona, że pierwsze zdanie powieści jest dowodem na poważne potraktowanie odbiorcy. Nie jest jasne, co „poważne potraktowanie” oznacza, ale gdy kilka stron dalej znajdujemy radę: „Dobrze wprowadza czytelnika w klimat książki pierwsze zdanie dotyczące pogody”, czujemy, że rada jest banalna i że wcześniej zalecanym „poważnym potraktowaniem” ma mało wspólnego — mimo, oczywiście, niebanalnego początku kilku rozpoczynających się od opisu pogody dzieł, np. *Pamiętnika z Powstania Warszawskiego*.

Wymyślanie tytułu i pierwszego zdania to ledwie wierzchołek góry lodowej, jeśli do rozmiarów góry lodowej porównamy trudności, z jakimi mierzy się pisarz. Autorskie opisy męki tworzenia i twórczej niemocy zawarte w *Książce o czytaniu* pochodzą, jak poprzednio, z różnych epok i obszarów językowych. I — trzeba przyznać — poruszają. Pozwalają bowiem zajrzeć „za kurtynę” i dowiedzieć się, kto siada do pisania z gotową książką w głowie (np. J. Dukaj), kto rozpoczyna od projektowania sytuacji, dialogów, postaci (np. E. Rylski), a kto czeka, aż „coś jego wybierze” (np. W. Myśliwski). Jak się okazuje, wielkim problemem jest dla wszystkich zabranie się do pracy. Każdy ma swoje na to sposoby. A gdy już rozpoczniemy, wcale nie jest łatwiej. „Idzie” — rzadko, „nie idzie” — najczęściej. Wreszcie następuje niekończący się etap poprawiania. „Najpiękniejsze są książki nienapisane” — mówi Dukaj. Dlaczego więc pisze? Bo musi.

W rozdziale poświęconym „książkom, których nie ma” mowa jest o dziełach kiedyś istniejących, które zaginęły lub zostały zniszczone (zdarzało się, że przez samego autora), ale także o tytułach wymyślonych przez pisarzy i wykorzystanych w ich twórczości (czasem tylko w postaci tytułu, czasem fragmentu tekstu lub omówienia treści). Legenda zrodzona wokół książki-widma, jak np. wokół *Mesjasza Brunona Schulza*, staje się często inspiracją dla innych. Z podobną mocą działają na wyobraźnię czytelników informacje o tytułach, do których uzyskają dostęp dopiero po śmierci autora. Nie wiedzieć czemu takie dzieła-zagadki zalicza Sobolewska do tej samej kategorii co utwory eksperymentalne, „szalone pomysły”, nigdy niezrealizowane lub zrealizowane częściowo (np. autorstwa R. Russela).

Dwa następne rozdziały traktują o lekturach zabieranych w podróż, np. na wakacje, i czytelnicznych modach, łatwiejszych do zaobserwowania w plenerze. Diagnoza, że ludzie czytają te same książki, bo „myślą, że większość nie może się mylić”¹⁸, brzmi przekonująco. Zwłaszcza teraz, gdy o wyborze decydują w coraz większym stopniu nie działania wydawców, lecz rekomendacje znajomych, opinie użytkowników serwisów społecznościowych czy forów internetowych. Inaczej zachowują się pisarze — jak się okazuje, zaskakująco wielu z nich za-

¹⁸ J. Sobolewska, *op. cit.*, s. 101.

biera na wakacje zawsze ten sam tytuł lub kolejne powieści wybranego autora. Innym kryterium może być objętość dzieła — często na specjalnej półce czekają na urlop książki najgrubsze.

Bogata oferta wydawnicza wywołała ostatnio modę na turystykę literacką, czyli odwiedzanie miejsc, w których żyli lub które opisywali ulubieni autorzy, albo miejsc, w których rozgrywa się akcja ulubionych książek. Lektura staje się przewodnikiem, a nawet kluczem do zrozumienia wyspy, miasta, kraju. Czasem na odwrót: podróż sprawia, że to dzieło staje się jaśniejsze, a jego autor — bliższy. Książki Amosa Oza warto więc zabrać do Izraela, a Orahna Pamuka — do Turcji. Ale to nie wszystko. Sobolewska zauważa, że równie ważni jak książki są ludzie, z którymi się w podróż wybieramy. Oni sami i ich książki.

Temat nieczytania, któremu poświęcono kolejny rozdział, jest w tym samym stopniu fascynujący, co kłopotliwy. Wyrzuty sumienia dręczą wszystkich, bo jeśli nawet się przeczytało, można przecież zapomnieć. Więc wymyśliłyśmy sposoby ukrywania swojej ignorancji, czasem dość przewrotne, np. chwalimy się nią. Zdarza się, że o przynależności do pewnych elitarnych kręgów decyduje nie to, kto przeczytał najwięcej, ale kto nie przeczytał książki najbardziej znanej. Pierre Bayard sprawił, że odpowiedź na ostatnie pytanie bardzo się skomplikowała. Bo dziś „nieprzeczytanie” nie oznacza, że dzieła nie znamy; mogliśmy je przecież przekartkować, znać z omówień, usłyszeć o nim od znajomych i w ten sposób wyrobić sobie „pogląd na całość”.

A może dziś zupełnie wystarcza Bayardowskie „nie-czytanie”? Może należy potraktować je jak koło ratunkowe w oceanie tytułów? Zawsze przecież możemy do książki wrócić. Bez względu na to, czy czytaliśmy ją wcześniej w całości, czy tylko przeglądaliśmy, podczas nowej lektury i tak doświadczymy radości odkrywania nowych sensów.

*

Nad całą *Książką o czytaniu* unosi się duch Anne Fadiman. Wyraźnie widoczne są inspiracje tematyczne — w wielu miejscach Sobolewska do rozdziałów z *Ex libris* nawiązuje wprost. Łatwo także zauważyć próbę zastosowania podobnej formy wypowiedzi. Clifton Fadiman, twórca eseju poufałego, uważał, że do jego uprawiania potrzebne są dobre maniery, celna cytacja, greka i łacina, staranna wymowa, sztuka rozmowy, biblioteka gentlemana, dochody gentlemana i sam gentleman¹⁹. Z oczywistych powodów jego córka Anne eksponuje nieco inne przymioty eseisty poufałego: pisze on tak, jakby rozmawiał z czytelnikiem siedzącym obok przy kominku i jakby na rozmowę miał cały wieczór, koncentruje się na sprawach sobie bliskich, jego styl jest subiektywny i dygresyjny,

¹⁹ A. Fadiman, *W ogóle...*, s. 7.

wypowiedzi pełne entuzjazmu i miłości²⁰. W centrum esejów zamieszczonych w książce Fadiman znajduje się jej rodzina. Także Sobolewska często przywołuje swoich synów, męża i ojca. W jednym z rozdziałów dzieci są nawet głównymi bohaterami: wokół nich kręci się domowe życie, także domowe życie literackie. A wszystko po to, by stały się spadkobiercami pasji rodziców. Już wiadomo, że udało się to w przypadku Anne i Cliftona Fadimanów.

Do rodziny zwracają się obie autorki także w dedykacjach i podziękowaniach. Różnica jest jednak zasadnicza. Sobolewska dziękuje trzem osobom: mężowi, tacie i Anicie Brzostowskiej, która na stronie redakcyjnej występuje jako koordynator projektu. Fadiman wymienia nazwiska ponad pięćdziesięciu osób! Steve Smith i Adam Goodheart zredagowali eseje z „erudycyjną starannością”, członkowie zespołu redakcyjnego czasopisma, w którym autorka pracowała, „odgrzebywali i sprawdzali osobliwe fakty”, trzy osoby uzupełniły brakujące informacje, dwóch redaktorów, dwóch grafików i korektor pomogli przygotować książkę do druku. Do grona współpracowników Fadiman zalicza także wymienionych z imienia i nazwiska trzydziestu ośmiu przyjaciół, którzy „życzliwie znosili [...] pytania”, „uczestniczyli [...] w przesłuchaniach”, „służyli pomocą w różnych kwestiach”.

I jeśli nawet uznamy, że amerykański „kok” opiera się na innym pomysłe niż polski, w jego centrum stoi bowiem autorka, a nie czytelnicy, którzy mają — zgodnie z podtytułem — książkę po swojemu rozwinąć; jeśli nawet zauważymy, że poruszane tematy różnią się „skalą” — u Fadiman są kameralne, bardziej osobiste, oparte na jej przemyśleniach i doświadczeniach, Sobolewska zaś zdecydowanie intensywniej (a chwilami zbyt intensywnie) eksploruje już istniejące „kok-i” — trudno oprzeć się porównaniu efektów pracy obu autorek, a jeszcze trudniej nie zauważyć dramatycznej różnicy w jakości edytorskiego opracowania.

Lektura *Książki o czytaniu*, której wydanie nas, czytelników nałogowych, tak bardzo ucieszyło i z którą wiązaliśmy tak wielkie nadzieje, jest udręką. Tym większą, że sposoby na jej złagodzenie, a nawet wyeliminowanie są znane od dawna. Do uniknięcia ogromnej większości z dziesiątków błędów, pomyłek, uchybień i zaniedbań wystarczyłby jeden profesjonalny redaktor.

Zacznijmy od wykazu wykorzystanych przez autorkę tytułów, nazwanego *Bibliografią*. Dobry pomysł podzielenia jej na części odpowiadające rozdziałom psuje brak konsekwencji i troski o detale. A jak wiadomo, prawdziwych miłośników książek cechuje nabożny wręcz stosunek do opisu bibliograficznego. Tu, mimo że w tekście brakuje odsyłaczy, miewa on formę przypisu²¹ (np. Bazar-nik, Katarzyna [cyt. za:] „Gulasz Joyce’a”, Justyna Sobolewska, *Polityka* (nr 3), 18.01.2012). Inne opisy kończą się na podaniu nazwiska autora i tytułu, co nie identyfikuje jednoznacznie np. mającej trzy polskie wydania (1989, 1998 i 2012 rok) powieści Itala Calvino *Jeśli zimą nocą podróżny*. Zdarza się także, że

²⁰ *Ibidem*, s. 8.

²¹ We wszystkich cytowanych przykładach zachowano oryginalną pisownię.

w jednym miejscu opis jest pełny, np. Jarecka, Dorota, „Fahrenheit 451 i płonie pamięć”, *Gazeta Wyborcza* (nr 58), 9.03.2012, a stronę później — ogranicza się do nazwiska i tytułu. Nieprawidłowy opis bibliograficzny mają także artykuły z czasopism oraz dokumenty elektroniczne.

Co gorsza, zdarzają się błędy rzeczowe. Na przykład tłumaczem *Listów Pliniusza Cecyliusza Sekundusa* (Młodszego), przy których — nawiasem mówiąc — brakuje wydawcy, nie jest Roman Ziomecki, a Roman Ziolecki. Książka opisana jako: White, N.J. „Life of Percy Bysshe Shelley”, London, 1947 — nie istnieje, a cytowany opis jest połączeniem danych dotyczących dwóch dzieł, których wydania dzieli równo wiek: N.I. White’a i T. Medwina. Z kolei *To nie jest książka* została wydana przez Wydawnictwo Format we Wrocławiu, a nie w Warszawie. Źródła niektórych pomyłek łatwo się domyślić: adres bibliograficzny został bezrefleksyjnie przepisany z innego tytułu, najczęściej z przygotowanych znacznie staranniej, choć też nie bezbłędnie, *Przypisów* zamieszczonych w książce Manguela.

Mniej dokuczliwe dla czytelnika, choć świadczące nie najlepiej o wydawcy, są niekonsekwencje redakcyjne: imiona występują w postaci rozwiniętej lub tylko inicjałów, między nazwiskiem a imieniem czasem brakuje przecinka, w wielu miejscach nie podano nazwiska tłumacza, a w opisie książki Petera Ackroyda dwukrotnie pojawia się miejsce wydania (London), niespodziewanie oddzielone od nazwy wydawnictwa dwukropkiem. Do tej kategorii błędów należą też decyzje dotyczące formatowania tytułów (książki lub artykułu). Zwykle w tych miejscach stosuje się kursywę, a cudzysłowem wyróżnia tytuły gazet i czasopism. Tu, jak również w głównej części książki, dominuje cudzysłów.

Oprócz tytułów w cudzysłów ujęte są cytaty, co czasem prowadzi do cudzysłowu wewnątrz cudzysłowu zapisanego za pomocą tych samych znaków (s. 13). Kilka stron później (s. 18) w podobnej sytuacji występują już dwa rodzaje cudzysłowów. W rozdziale następnym cytaty wyróżniono zarówno cudzysłowem (np. s. 24), jak i kursywą (np. s. 21). Tę niekonsekwencję obserwujemy w całej książce, zdarza się nawet na tej samej stronie (np. s. 25, 115). Jej przyczyną jest prawdopodobnie przytaczanie wypowiedzi pochodzących z różnych źródeł, a więc — podobnie jak przypisy — sformatowanych według różnych wzorów. Ale nie tylko o sposób wyróżnienia chodzi. W kilku miejscach zabrakło autorce umiejętności wprowadzania cytatów do tekstu (np. s. 39, 51, 77).

My, doświadczeni czytelnicy, a takich, przypomnijmy, książka Sobolewskiej najbardziej zainteresowała, już po przeczytaniu pierwszych stron czujemy się zlekceważeni, a jednocześnie — jeśli z dalszej lektury nie rezygnujemy — zmuszeni do samodzielnego naprawiania wyrządzonych książce i nam szkód. Potrafimy to robić, szybko więc zauważamy i zapamiętujemy, że rozdział zatytułowany w spisie treści *Czarno na białym, czyli książka kontra czytelnik* w głównym tekście nazywa się *Czarne literki na białym tle, czyli książka kontra czytelnik* (s. 57), by do pierwszej wersji tytułu wrócić w *Bibliografii*. Następnie, gubiąc się co parę stron

w zbyt długich, często ponadstronicowych fragmentach tekstu, dzielimy je na osobne myśli i akapity (np. s. 24, 37, 43, 66, 77, 119). Poprawiamy „koordynatora Ingeborgę Janikowską-Lipszyc” (s. 21) na „koordynatorkę Ingeborgę Janikowską-Lipszyc”, pamiętając, że w innych miejscach spotkaliśmy „krytyczkę sztuki” (s. 41, 59), „tłumaczkę” (s. 42), „historyczkę” (s. 113) i „literaturoznawczynię” (s. 122). Z twierdzeniem, że „jeden na dziesięciu mężczyzn regularnie czyta w toalecie” (s. 50), nic nie umiemy zrobić, nie wiemy bowiem, z jakich statystyk korzystała autorka.

Co chwilę podejmujemy też wysiłek zrozumienia podawanych informacji. Czasem nam się udaje, czasem nie. Na przykład, mimo przeczytania akapitu ze s. 95 kilkakrotnie, nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, o którego pisarza chodzi — Artura Sandauera czy Brunona Schulza. Dylemat z mężem — Anne Fadiman czy Susan Sontag? — dopada nas na s. 43. By zdanie o Stanisławie Brzozowskim zamieszczone na s. 96 nie sugerowało, że swoją powieść pisał także po śmierci, szybko zamieniamy w myślach czasownik „napisać” na „skończyć”. Zdania ze s. 60 o dwóch mężczyznach, „którzy w skupieniu i z wyraźną przyjemnością gładzili swoje ekrany dotykowe” nie jesteśmy w stanie poprawić z powodu ataku śmiechu. Zabawna jest też informacja o antologii „najlepszych opowiadań grozy bez okładek” (s. 51), o instrukcjach obsługi i ulotkach, które dla „nałogowych czytaczy w toalecie” mogą być pożywką (s. 53), „autorze »New York Timesa«” (s. 52), „przedstawicielach odpowiedzialnych koncernów” (s. 54), „zakładaniu książek” (s. 34) i czytaniu „jednej i tej samej książki w kilku językach” (s. 101). Wobec tych nieporadności drobiazgami wydają się serie powtórzeń (np. różnych form czasowników „ulożyć” na s. 40 czy „pożyczyć” na s. 44), nieprawidłowa odmiana imienia Bruno oraz nazw własnych Kindle (s. 61) i McDonald’s (s. 99), użycie obok siebie „tys.” i „tysięcy” (s. 37), literówki czy błędy interpunkcyjne.

*

Omawiane „kok-i” są znakomitym dowodem na to, jak wielki wpływ na efekt pracy autora ma jego „zaplecze”. „Zaplecze”, czyli zaufane osoby podsuwające tematy i tytuły, na bieżąco komentujące kolejne fragmenty, tropiące różnego rodzaju błędy. Ich nazwiska umieszczane są dyskretnie na stronie redakcyjnej, czasem eksponowane w dedykacjach lub podziękowaniach. Wśród nich, oprócz rodziny i przyjaciół, musi być profesjonalny redaktor — pierwszy „zewnątrzny” czytelnik całości, na którego pracę nie powinny mieć wpływu emocje, zmęczenie, pośpiech, naciski autora czy wydawcy. Takich redaktorów mamy. Na polską Fadiman — wciąż czekamy.

Autorka serdecznie dziękuje dr Elżbiecie Herden za niezawodną pomoc w ustaleniach bibliograficznych.